

Grunt pod nogami

Żyjemy w świecie, którego nie znamy. Nie wiemy, kto i dlaczego zbudował miejscowości, w których mieszkamy, albo stworzył instytucje, z których korzystamy. Kto i w jakich okolicznościach ukształtował naszą codzienność. Nie zastanawiamy się nad tym, że kiedyś – całkiem niedawno – była ona zupełnie inna. Nasze myśli są więźniami innej historii: zbudowanej wokół patriotycznych symboli, utkanej ze spraw niepewnych i wątpliwych, a zarazem z hasel budzących emocje. To sprawia, że zachowujemy się tak, jakbyśmy nie rozumieli związków między niepodległością i państwem, wolnością i prawem, bezpieczeństwem i jakością życia a infrastrukturą techniczną i społeczną. Ofiary historii nazywamy naszymi bohaterami, a tych, którym jesteśmy winni choćby uwagę – o ile nie wdzięczność – nie znamy nawet z nazwiska.

Wielka historia modernizacji, w której uczestniczyli nasi przodkowie, wydaje nam się czymś, co było poza czyjąkolwiek wolą: jak pory roku, wielkie powodzie czy zmiany koryt rzek. Mamy trudności z wyjaśnieniem różnic między nami a krajami zachodniej Europy w inny sposób, niż posługując się słowem „zacfanie”, ale i to słowo brzmi w naszych ustach jak słowo „klimat”. Nie rozpoznajemy także podobieństw do nowoczesnej historii narodów sąsiednich. Nie wiemy, dlaczego miasta niemieckie – nie mówiąc już o czeskich – są dla nas w swojej strukturze łatwiejsze do zrozumienia niż amerykańskie czy rosyjskie, dlaczego z ideą narodu mamy inny problem niż na przykład Francuzi, Anglicy czy Turcy.

Straciliśmy zdolność widzenia istotnych procesów, od lat bowiem naszą percepcję historii osłepiają dzieje sprawy polskiej, która jest czymś więcej niż tylko walką o niepodległość. Dziś nadal łatwiej nam toczyć spór o Stanisława Augusta Poniatowskiego, o sens powstań narodowych, o racje przyświecające decyzji o wybuchu ostatniego – powstania warszawskiego – niż o sprawę związane z realnym dorobkiem ekonomicznym i społecznym Drugiej

Rzeczypospolitej, Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej czy współczesnej Polski. Co więcej, taką właśnie zmitologizowaną historię zaprzęgliśmy do objaśniania współczesności. Nawet przenikliwi komentatorzy nie czują oporu przed porównywaniem Jarosława Kaczyńskiego z Romanem Dmowskim czy Józefem Piłsudskim. A właściwie z karykaturami Dmowskiego i Piłsudskiego. Nie cofają się przed przypisywaniem przeciwnikom różnych mniej lub bardziej zbrodniczych genealogii, nawet nazistowskich czy stalinowskich. Postawiliśmy sprawy na głowie, nie dostrzegając skutków, jakie to przyniosło.

Tymczasem historia nieuchronnie jest jedną z ram myślowych pomagających nam w okiełznaniu teraźniejszości. To tłumaczy fakt, że w drugiej dekadzie XXI wieku taką karierę zrobiła historia żołnierzy wyklętych. Co ważnego o nas miała nam opowiedzieć? Do czego posłużyć? Nie pytam o to, dlaczego zajęli się nią zawodowi historycy, ale o to, dlaczego stała się tak istotna politycznie, że zepchnęła w cień inne historie tamtego okresu? Podobnie zresztą można pytać o to, dlaczego z odkrywanych kart dotyczących Holocaustu i powojennych pogromów tak łatwo wyprowadza się wnioski dotyczące postaw współczesnych pokoleń Polaków. Te gry są zrozumiałe politycznie, może nawet do pewnego stopnia – gdy uznamy politykę za demokratyczną próbę zdobycia przez społeczeństwo jakiejś tożsamości – uprawnione. Wybieramy strategię usprawiedliwiająca skalę wewnętrznego konfliktu.

I choć dowiadujemy się z tych historii czegoś ważnego, to niemal natychmiast tę wiedzę redukujemy do schematu, który pomaga nam w absolutyzowaniu wewnętrznego konfliktu. Ten spór jest realny i sensowny, pod warunkiem jednak, że nie staje się osią politycznych podziałów i nie odbiera nam szansy na formułowanie takich opowieści, których skutkiem byłoby poszerzenie dwóch podstawowych funkcji każdego społeczeństwa: zdolności do współdziałania i umiejętności koncentrowania się na tym, co najważniejsze.

Zresztą opowiadając sobie w kółko o Armii Krajowej i sanacji, o tajnych współpracownikach bezpieki czy o legionach, tracimy szansę na zrozumienie różnicy między Polakami współczesnymi a tymi, którzy w 1980 roku stworzyli „cud »Solidarności«”. Tę różnicę między trzydziestym piątym rokiem istnienia Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej a trzydziestym rokiem Trzeciej Rzeczypospolitej potrafimy opowiedzieć tylko na poziomie drobnych symboli codzienności: wspominając polo cocktę, *Teleranek* i grę w kapsle, mówiąc o małym fiacie i koloniach organizowanych przez zakłady pracy rodziców. Nic z tego jednak nie wynika. To nasza mała, nieco infantylna ojczyzna, w której miejsce Lecha Wałęsy zajmie z powodzeniem Kazimierz Deyna, Nobel dla Czesława Miłosza może być zamieniony na skecz Zenona Laskowika i Bohdana Smolenia z festiwalu w Opolu, a problem peerelowskiej gospodarki niedoboru – sprowadzony do wspomnienia o kartkach i kolejkach.

Zabierzmy się za to inaczej. Przyjrzyjmy się historii gruntu pod nogami: temu, jak powstała – stanowiąca osnowę państwa – współczesna sieć miejska. Sieć, która jest także punktem odniesienia dla mieszkańców wsi. Ponieważ odległość do najbliższego miasta stała się – wskutek procesów modernizacji – znacznie mniejsza niż kiedykolwiek, a dystans między realiami życia na wsi a życiem po miejsku zmalał tak, że kilkadziesiąt lat temu nikt by się tego nie spodziewał. Zobaczmy zatem tę sieć miejską, tworzoną nie tylko przez mury budynków czy drogi i szlaki kolejowe, lecz także instytucje – świadczące przez nie usługi, poczucie bezpieczeństwa, które im zawdzięczamy. Dostrzeżmy ponadto nowe – będące następstwem modernizacji – zachowania, obyczaje, sposoby spędzania czasu. To też nasz grunt pod nogami. Ukształtowany nie przez naturę czy opatrność, ale przez działania naszych przodków mniej lub bardziej świadomych ich konsekwencji.

Uważam, że historia Polski jest znacznie ciekawsza niż jej obraz zamknięty w kategoriach bohaterstwa lub zacofania, niezłomności czy peryferyjności. Ciekawszy jest opis gry, którą z nowoczesnością toczyli nasi poprzednicy. Ich doświadczenia były ważniejsze i bardziej interesujące, niż wskazują na to patriotyczno-tradycjonalistyczny kanon czy utyskiwania modernizatorów. A historia widziana przez pryzmat kilkudziesięciu węzłów sieci miejskiej jest istotniejsza niż sprowadzona tylko do tego, co działo się w Warszawie i – od czasu do czasu – w Krakowie.

To właśnie tam – w wielu mniejszych od Warszawy miastach – toczyła się nieopowiedziana do końca gra z nowoczesnością. A wbrew mentalnym centralistom – toczy się nadal. To, co działo się w ostatnim trzydziestoleciu w Opolu i Nowym Sączu, we Wrocławiu i w Białymstoku czy w Szczecinie i Tychach, nie było wyłącznie historią „związania się” Polski, wyludniania się prowincji czy naśladowania Warszawy. Onet nie powstał przy stołecznym placu Politechniki, jest bowiem wspólnym przedsięwzięciem nowosądeckiego Optimusa i bielskiego Pascala, RMF FM nie startowało z Warszawy, lecz z Krakowa, a Fakro nie wytwarza swoich znanych w Europie okien na Żeraniu, tylko przy ulicy Węgierskiej w Nowym Sączu. Oczywiście takie sukcesy były możliwe w latach dziewięćdziesiątych XX wieku, dziś zaś ich powtórzenie byłoby niezwykle trudne – prowincja traci wiarę we własne siły, uciekają z niej również na skalę większą niż kiedykolwiek ludzie innowacyjni. Zjawisko to jest jednak – przynajmniej do pewnego stopnia – odwracalne. Muszą być tylko spełnione warunki: ustrojowe i te niedające się zaprojektować, a mające swoje źródła w decyzjach jednostek. W ich pomyślności, poświęceniu, chęci postawienia na swoim.

Tymczasem, choć jesteśmy krajem scentralizowanym: administracyjnie, gospodarczo i mentalnie, mamy jeszcze dość narzędzi, żeby móc to fatum

przełamać. Żeby chcieć rozwijać się inaczej i użyć w tym celu dostępnych środków. Jesteśmy w stanie przełamać fatum zacofania i inteligentnie rozegrać odziedziczoną półperyferyjność. I jesteśmy na tyle sprawni kulturowo, aby zrobić to, nie powtarzając krzepiących bajek o Międzymorzu, nie wierząc ani w gierkowską „drugą Polskę”, ani w zaklęcia o „wstawaniu z kolan”. To są narracje drugiej świeżości i niskich intelektualnie lotów. Podobnie jak powtarzane w poetyce szkolnej akademii z okresu późnej Polski Ludowej rytualne deklamacje o dziedzictwie powstań, walk niepodległościowych czy patriotycznych konspiracji, opowiadające historię Polski pomniejszonej do rozmiarów jednego miasta i jednego mitycznego powiatu – z dworkiem, ze szczęśliwą wsią i z kościółkiem.

Jeśli ta propaganda byłaby tylko cynicznym marketingiem służącym do wygrywania wyborów, można by to jakoś znieść. Nic jednak nie pozwala sądzić, by za tą fasadą kryły się diagnozy głębsze, ciekawiej projektujące polską przyszłość, lepiej rozumiejące historię. Obawiam się, że wychowane na tej nowej patriotyczno-politycznej poprawności elity tylko z największym trudem będą w stanie dostrzec Polskę w jej rzeczywistym wymiarze.

Tymczasem mamy dziś opasłe tomy historii lokalnych przeczących tej mainstreamowej narracji. Pracując nad tą książką, korzystałem z wielu tekstów znakomicie opisujących dzieje miast, regionów, czasami dzielnic lub ulic, a nawet charakteryzujących pojedyncze zdarzenia. Składały się one na mozaikę zupełnie inną niż ta, której się pierwotnie spodziewałem, mając w pamięci hierarchię ważności funkcjonującą w oficjalnej historii Polski.

Historia Polski, jaką powszechnie znamy, choćby z podręczników, nie jest historią terytorium, na którym mieszkamy. Nie jest też historią narodu, jaki stanowimy, ani nawet jego kultury. Jest przemyślnie dokonanym kolażem tego, co było potrzebne elitom walczącym o niepodległość w XIX wieku i rządzącym w okresie międzywojennym, i tego, co było konieczne w okresie drugiej wojny światowej, oraz tego, o czym trzeba było pamiętać w czasach Polski Ludowej. Pamięć historyczna była narzędziem ułatwiającym przetrwanie i opór, ale utrudniającym budowanie państwa, roztropną dyskusję o jego ustroju gospodarczym, racjonalne traktowanie polityki zagranicznej.

Jak zatem nazwać tę historię, która może przyjść nam z pomocą, nie znosząc starej historii, ale ją uzupełniając? Wszak nie jest to historia społeczna czy gospodarcza, nie chodzi także o historię codzienności. Myślałem o zgubionym wątku historii politycznej – jeżeli przez politykę rozumiemy sprawczość, która nie jest wyłącznie biznesem, nie jest twórczością artystyczną czy działalnością religijną. Musiałem przyjąć jakieś czytelne kryterium tej sprawczości, aby móc śledzić jej losy. Tym kryterium było wprowadzanie

widocznej – niekoniecznie gołym okiem – zmiany. Zmiany w przestrzeni, sposobach zachowań, możliwościach jednostek. Historia ta oczywiście nieustannie przeplata się z historią gospodarczą, społeczną, z dziejami urbanistyki, architektury i postępu technicznego, ale ma suwerenny – do pewnego stopnia niezależny od nich – bieg.

Zapewne każdy doświadczył kiedyś sytuacji, w której grunt usuwa się spod nóg i wydaje się, że wszystko, czemu się zaufało, traci wiarygodność. Grunt pod nogami społeczeństw jest tworzony nie tylko przez zorganizowaną przestrzeń: miasta, wsie, szlaki komunikacyjne, ale także przez instytucje, w których toczy się codzienne życie. Jego historia to zawsze dzieje przestrzeni i instytucji. To procesy, które – w ostatnich wiekach – zasadniczo zmieniły codzienność wszystkich narodów Europy. Mniej więcej na początku tego okresu mieszkańcy kontynentu zaczęli gremialnie chodzić do szkoły, a dziś niemal wszyscy spędzają w niej kilkanaście lat swojego życia. Wtedy także zaczęła pracę nowoczesna administracja, wówczas nieliczna, a współcześnie dająca zatrudnienie milionom Europejczyków.

W punkcie wyjścia tej historii Europa jest kontynentem pozbawionym środków komunikacji w ich dzisiejszym rozumieniu. Nie tylko dlatego, że nie powstały jeszcze dobre drogi, nie kursują pociągi, nie latają samoloty. Również informacje przesyłane są w żółwym tempie. Przeciętny Europejczyk włącza dziś rano radio, żeby poznać prognozę pogody, dowiedzieć się o korkach, które napotka w drodze do pracy, wysłuchać najnowszych wiadomości – oczywiście jeśli nie przeczytał o nich wcześniej na Twitterze czy w portalu internetowym. W XVIII wieku nawet *breaking news* – informacje o śmierci monarchy, przegranej bitwie, wielkiej powodzi czy innej klęsce – potrzebowały wielu dni, aby dotrzeć do zainteresowanych. Ba, sam pamiętam czasy, gdy na część informacji sportowych trzeba było czekać do następnego dnia, do pojawienia się w kiosku porannych gazet. A do wielu miejscowości na prowincji poniedziałkowy „Przegląd Sportowy” docierał bezwstydnie we wtorek. Dziś wyniki meczów pojawiają się dzięki aplikacjom typu FlashScore w czasie rzeczywistym.

Co więcej, u progu nowoczesności formy komunikacji na odległość – wymagające umiejętności pisania i czytania – były elitarne. Pierre Chaunu pisze o dwóch granicach dzielących ludność ówczesnej Europy na „trzy bardzo nierówne warstwy”. Pierwsza to ludzie czytający po łacinie, druga – ludzie czytający we własnym języku, trzecia, obejmująca dziewięćdziesiąt procent społeczeństwa – to ludzie nieumiejący czytać i pisać. Tak rzecz się miała w XVIII wieku. Lecz właśnie to już wkrótce miało ulec zmianie. Pierwsza linia podziału straciła na znaczeniu wraz z końcem uprzywilejowanej roli łaciny, druga przesunęła się wraz z upowszechnieniem oświaty¹.

W punkcie wyjścia nowoczesności nie istnieją publiczna opieka zdrowotna, kontrola warunków sanitarnych, reguły dotyczące pozbywania się śmieci i nieczystości. Nie ma nie tylko ciepłej wody, ale po prostu wody bieżącej w ogóle, nie działa kanalizacja, w kuchni są piece, piece służą również do ogrzewania, a ciężka zima może zebrać wielkie żniwo ludzi umierających z wychłodzenia, od chorób, z głodu. Apologeci dawnych czasów mieliby kłopot z przeżyciem w tamtych realiach, zwłaszcza gdyby się znaleźli – co zresztą nigdy nie przyjdzie im do głowy – poza wąskim kręgiem ludzi zamożnych.

Nowoczesność to – w pewnym wątku jej dziejów – wysiłek zbudowania gruntu pod nogami dla wszystkich bez wyjątku. To nie utopia idealnej równości, ale i nie ponura z dzisiejszego punktu widzenia wizja świata, w którym godne warunki życia dostępne są nielicznym. W samym rdzeniu nowoczesności jest sprzeciw wobec przeszłości, wobec tego, co było. To nawet pewnego rodzaju obrzydzenie realiami życia i relacjami międzyludzkimi obowiązującymi w dawnych epokach. Niektóre historyczne narracje starają się ten gest sprzeciwu czy obrzydzenia osłabić, ukazując nam historię bez opisujących codzienność uwarunkowań społecznych, ekonomicznych czy instytucjonalnych – bez gruntu pod nogami. Dzięki nim możemy się czuć spadkobiercami Radziwiłłów, Potockich, Sobieskich i Poniatowskich, spychając na margines wiedzę, że zawsze są jakieś „doły”, które nie biorą udziału w tej prawdziwej wielkiej historii. „Doły”, których warunki życia, aspiracje czy prawa są marginesem tego, co najważniejsze.

Tymczasem prawda jest inna: jesteśmy – w wielkiej części – spadkobiercami tych „dołów”, tych początkowo tylko niemych uczestników wielkiego procesu modernizacji, jaki był treścią ostatnich dwustu pięćdziesięciu lat. Jesteśmy spadkobiercami tych, którzy uzyskiwali wolność od poddaństwa i pańszczyzny, przeżywali moment, kiedy mogli pierwszy raz posłać dzieci do szkoły i zamieszkać po ludzku, pracować w ograniczonym ustawowo czasie pracy. Nie jesteśmy uczestnikami balu kostiumowego, w którym ciągle pierwsze skrzypce grają postaci z konfederacji targowickiej i Sejmu Wielkiego, powstańcy i zdrajcy, konspiratorzy i twórcy narodowo-religijnych nabożeństw.

Przy czym nie chodzi tu o jakąś nową historię, która komicznie będzie to szlacheckie uwikłanie wymazywać, pomniejszać czy wyszydzać. Nie chodzi o jakąś sztuczną korektę. Raczej o to, by nie myśleć kategoriami *pars pro toto*, a historii jednej z warstw nie opisywać jako historii narodu czy społeczeństwa. Żeby nie powtarzać paternalistycznych wzorców warstwy panującej, która konflikt klasowy opisuje jako wynik ciemnoty mas, a proces unarodowienia utożsamia z przyjęciem przez wszystkich systemu wartości szlachty.

Interesująca książka Rafała Smoczyńskiego i Tomasza Zaryckiego *Inteligenci totem* dobrze pokazuje przejmowanie tego etosu przez polską inteligencję. Przedstawia go nawet z pewnym fatalizmem, podkreślając niemożność zerwania z tą dominacją „szlacheckości” w polskim polu symbolicznym².

Tymczasem istnieje wiele powodów, aby ten symboliczny monopol skruszyć albo porzucić. Przemawia za tym choćby jego związek z czymś, co Jarosław Kuisz precyzyjnie opisał jako „kulturę podległości” – zespół zachowań wypracowany, aby przetrwać okres obcego panowania w XIX wieku, by złagodzić presję sowieckiego systemu totalitarnego w połowie XX stulecia, ale zupełnie nieprzydatny do funkcjonowania w czasach współczesnych. Chodzi o to, by tę „kulturę podległości” podważać, pokazując groteskowość idealizacji Pierwszej Rzeczypospolitej, redukcji historii kraju do losów jednej warstwy³.

Trzeba to jednak uczynić, szukając oparcia dla całego społeczeństwa, a nie tocząc wojnę na hasła i emocje. Grunt ten zaś to oczywiście także państwo, które krok po kroku elita szlachecka niszczyła, pokolenie Sejmu Wielkiego ostatecznie utraciło, a jego następcy – próbowali odzyskać. Ta wielka dyskusja o powstaniach i konspiracjach, o ich osiągnięciach i błędach nie jest jednak przedmiotem mojego zainteresowania. Uważam, że choć pouczająca, historia sporu między „romantykami” a „realistami”, między zwolennikami czynu zbrojnego a rzecznikami pracy u podstaw stanowi dziś raczej element tracącej na znaczeniu tradycji kulturowej niż ważny punkt odniesienia dla wspólnoty politycznej. Raczej skazuje nas na intelektualne zapętlenie, niż podpowiada zasady postępowania rządu i opozycji czy jakoś sensownie proponuje postawy opinii publicznej. Grunt pod nogami tworzono poza sporem „romantyków” i „realistów”, zresztą – podkreślmy – potrafili to robić jedni i drudzy, niejako na marginesie czynów i słów, które umieściły ich w narodowym panteonie. Jednostki destrukcyjne, nieuznające zasadności takich wysiłków, także znajdowały się w obu obozach.

Moim celem jest zaproponowanie nowej wyobraźni historycznej, zbudowanej wokół tego, co jest przedmiotem naszej wspólnej troski. Wokół terytorium, które w obecnym kształcie przypadło nam w udziale zaledwie siedemdziesiąt lat temu, wokół sposobów radzenia sobie z nowoczesnością, podejmowanych zarówno w okresach bez państwa, z państwowością cząstkową i ułomną, jak i w tych czasach – podobnych do dzisiejszych – kiedy narzędziem „radzenia sobie” były struktury i instytucje Rzeczypospolitej.

Podstawowym tłem tej wizji są historie kilkudziesięciu miast. Fragmenty tych historii zostały dobrane tak, aby tę wyobraźnię możliwie szeroko rozwinąć. Czasami decydowałem się przenieść opowieść za granicę – niedaleko: do Czech, Słowacji, Węgier, Niemiec czy Ukrainy – aby uchwycić

jakąś dodatkową perspektywę, ukazać fakt, że granice problemów przebiegają inaczej niż granice administracyjne. Zwłaszcza gdy łączą nas wspólne podobne losy.

Żeby zmienić wyobraźnię ze skupionej na losach narodu pozbawionego państwa na historię sposobów radzenia sobie z nowoczesnością, nie trzeba iść wskazaną tu drogą, zapewne obarconą błędami subiektywnego spojrzenia. Można ją napisać na setki sposobów, łącząc punkty zupełnie inaczej, niż to zaprezentowałem w dalszych rozważaniach.

Przede wszystkim dyskusyjna jest sama metoda – obranie historii miast za klucz do skonstruowania historii jakiegokolwiek kraju. Zwłaszcza takiego, którego miasta uchodzą za słabe. Słabe jednak mieliśmy także państwo, skromny rodzimy kapitał czy przemysł, którym nie mogliśmy imponować reszcie Europy. Czy to znaczy, że te kluczowe dla nowoczesności aspekty życia nadają się jedynie na margines historii? Że grunt pod nogami to zaledwie coś, co pozwala toczyć to ważniejsze, prawdziwe życie, polegające na wspomnieniach i kultywowaniu tradycji?

Od trzydziestu lat trwa fascynujący proces odzyskiwania tego, co wydawało się marginalne – odzyskiwania przestrzeni, miejskich tożsamości, wiedzy o historii murów i ludzi. Proces, który dopiero się zaczął – od narodzin samorządu terytorialnego, małej prywatyzacji, przez pojawienie się ruchów miejskich i różnych form nowej obecności w przestrzeni miasta. Nie uzyskał jeszcze pełnego wyrazu politycznego, nieporadnie dobiera istotne symbole, waha się między ekskluzywizmem „metropolitalnej pychy” a inkluzywną wizją „miasta dla każdego”, powszechnego prawa do miasta, należnego także tym, którzy mieszkają poza jego granicami.

„Miasto jest punktem zwrotnym, gwałtowną odmianą, miejscem, gdzie spełnia się los świata”⁴ – pisał wybitny francuski historyk Fernand Braudel. Jego imponująca wizja nowożytności czy wczesnej nowoczesności w znacznym stopniu inspirowała poniższe rozważania na temat polskiego gruntu pod nogami. Podobnie jak obserwacje dotyczące kluczowej roli, jaką w procesie modernizacji odgrywały miasta, a z upływem czasu coś, co najlepiej nazwać siecią miejską.

Warto jednak dodać ważne zastrzeżenie samego Braudela, piszącego, że: „Nie ma miasta ani nawet miasteczka bez swoich wiosek, strzępków przydanego mu życia wsi, którym wmusza ono towary ze swego rynku, każe odwiedzać swoje kramy, używać swych miar i wag, pożyczać pieniądze u swoich lichwiarzy, korzystać ze swych sądów, a nawet ze swych rozrywek”⁵. To ważne zdanie nie tylko dlatego, że włącza w obręb naszej obserwacji wsie. Także dlatego, że nie przeciwstawia ich miastom, jak robi to choćby w modnej i popularnej książce Benjamin Barber, który czyni z napięcia „wiejskie” – „miejskie”

jeden z centralnych konfliktów współczesnej cywilizacji, rozstrzygnięty jednoznacznie na rzecz miast⁶.

Podjęcie Braudela jest ciekawsze, mimo że dziś handlowa zależność wsi i miasta traci na znaczeniu. Z rozrywki korzysta się często – tak jak w mieście – za pośrednictwem mediów elektronicznych i internetu, a tym, co pozostało w ujęciu Braudela jako niezmienna częśćka, którą wieś pozostaje związana z miastem, są jeszcze sądy, urzędy, szpitale, instytucje kultury, szkoły średnie i uczelnie, a także komercyjna oferta spędzenia czasu wolnego.

Miasta są dziś zatem głównie węzłami sieci o różnej skali oferowanych usług tego typu oraz mniej lub bardziej atrakcyjnymi rynkami pracy. Prostą poradę medyczną uzyskamy w pobliskim ośrodku powiatowym, z poważniejszym problemem pojedziemy do miasta wojewódzkiego. W tym właśnie sensie jesteśmy nie tylko mieszkańcami konkretnej miejscowości, ale także klientami miejskiej sieci. Sieci, która czasami przekracza granice państw. Dla części z nas lotniskiem „pierwszego wyboru” będzie berliński Tegel, dla innych naturalnymi klientami w ich sklepie będą Czesi, Słowacy czy Ukraińcy, wpadający w sobotę po towary, które są w ich kraju droższe lub niedostępne. Spotykamy ludzi, którzy decydują się na leczenie w szpitalu lub przychodni po drugiej stronie granicy. To zjawisko znane w całej Europie – na przykład leżący blisko austriackiej granicy węgierski Sopron obfituje w oferty tanich jak na wiedeńskie warunki usług dentystycznych. Zamknięcie granic wewnętrznych Unii Europejskiej, do którego doszło wiosną 2020 roku, pokazuje, że więzi obejmują znacznie szerszy zakres niż tylko turystyka czy wymiana handlowa. Poczuliśmy, jak ważne było to, że przez poprzednie kilkanaście lat granice przestały być barierą dla rynku pracy, spędzania czasu wolnego, życia towarzyskiego czy nawet wybranych polityk publicznych.

Sieć miejska przed dwustu pięćdziesięciu laty to coś zupełnie innego niż współcześnie. O tamtych czasach rzeczywiście można powiedzieć, że miasta były jednostkami handlowymi, administracyjnymi i usługowymi obsługującymi wiejską okolicę. Co więcej, niewiele ponad nią wyrastały. Były w większości małe lub bardzo małe. Jak pisze Maciej Janowski, u kresu Pierwszej Rzeczypospolitej „miasto, zbiedniałe i zmarginalizowane postrzegano jako coś obcego i właściwie zbędnego. Wiele miast polskich dopiero w początkach XIX wieku osiągnęło taką liczbę mieszkańców, jaką miały u schyłku średniowiecza”⁷. Nawet o Warszawie pisze gorzko, że „była miastem w gruncie rzeczy niesłychanie prowincjonalnym. Nocami tonęła w ciemnościach, wiosną i jesienią w błocie. [...] O bezpieczeństwie na ulicach, zwłaszcza po zmroku, lepiej nie wspominać. Uderza kontrast przepychu i nędzy”⁸.

Dwieście pięćdziesiąt lat temu na ziemiach polskich istniały dwa ośrodki wielkomiejskie: Warszawa z liczbą mieszkańców zbliżającą się do stu

tysięcy i o jakąś połowę mniej liczny Gdańsk. Dodajmy do tego – stanowiący dziś część naszego gruntu pod nogami, ale wówczas pruski – ponadpięćdziesięciotysięczny Wrocław. Duże na ówczesną polską skalę miasta to jeszcze kilkunastotysięczny Poznań, Kraków (liczący wraz z przedmieściami niewiele ponad dwadzieścia tysięcy mieszkańców), Toruń i Elbląg, Lwów oraz Wilno. Innym wielkim miastem leżącym w orbicie wpływów dawnej Rzeczypospolitej był porównywalny z Wrocławiem Królewiec – miasto, które na przemianach opisywanych poniżej straciło najwięcej, właściwie wypadając po 1945 roku z jakiegokolwiek sieci, stając się ośrodkiem administracyjno-wojskowym najpierw sowieckiej, a dziś rosyjskiej enklawy nad Bałtykiem.

Ówczesne polskie miasta ustępowały rozmiarem innym europejskim ośrodkom. Pomijając zachodnią część kontynentu, ze zbliżającym się do miliona mieszkańców Londynem, sześćsettyśięcznym Paryżem czy czterystatysięcznym Neapolem⁹, nawet stolice krajów sąsiednich górowały nad Warszawą – Wiedeń liczył ponad dwieście trzydzieści tysięcy mieszkańców, a Petersburg blisko dwieście dwadzieścia tysięcy. Dawna stolica Imperium Rosyjskiego – Moskwa – miała około trzystu, czterystu tysięcy mieszkańców. Berlin był jeszcze relatywnie mały, liczył bowiem ponad sto siedemdziesiąt tysięcy mieszkańców, a Drezno – około sześćdziesięciu tysięcy. Nawet czeska Praga miała ich tylko siedemdziesiąt pięć tysięcy. Listę tę może zamykać Wenecja ze stutrzydziestosiętmiosięczną populacją i z pięćset kawiarniami.

Podana liczba mieszkańców może być zresztą – zarówno wtedy, jak i obecnie – zwodnicza. Powód jest prosty: w tamtym okresie dane dotyczące populacji miast są dyskusyjne (na przykład dla ówczesnego Białegostoku różne szacunki wynoszą od 1,8 do 3,5 tysiąca). Z kolei w następnych dekadach wielokrotnie zmieniają się granice administracyjne, miasta włączają do swojego obszaru całe wsie, przedmieścia, dzielnice – z dnia na dzień mogą więc podwoić liczbę mieszkańców. A przecież dla ludzi korzystających z usług miasta te zmiany granic nie mają żadnego znaczenia, choć niekiedy dla mieszkańców przyłączonych gmin oznacza to większą trudność w załatwianiu spraw urzędowych. Z czasem jednak i ta niewygodna zostaje zapomniana. Liczą się realne funkcje.

Ówczesne funkcje administracyjne są skromne w porównaniu ze współczesnymi, ważniejsze są handlowe. W połowie XVIII wieku pozycję miasta w sieci wyznacza jeszcze – do pewnego stopnia – status kościelny: arcybiskupstwa, biskupstwa, nawet siedziby kapituły kolegiackiej, seminarium, liczba i znaczenie zgromadzeń zakonnych. Na przykład pod koniec XVIII wieku metropolitalny status Krakowa związany jest z ulokowanymi tu kurią arcybiskupią i uniwersytetem. Jednego i drugiego brak jednak

w stołecznej Warszawie. We Lwowie zaś czynniki prestiżu ograniczają się do elementów związanych z religią, edukacją i handlem. Dopiero status stolicy Galicji i Lodomerii połączony z instytucjami austriackiego systemu biurokratycznego uczyni z tego miasta ośrodek stołeczny dla całego terytorium od Białej po Zbrucz.

Ta sieć miejska nie jest jednak osadniczym rusztowaniem osiemnastowiecznej Rzeczypospolitej – rozumianej jako przestrzeń spraw politycznych. Z tego punktu widzenia istotniejsza jest jeszcze sieć dworów magnackich. Wiele miast będzie przez cały XIX wiek swoistymi ziemiańsko-mieszczańskimi kondominiami. Niektóre, jak Poznań i Kraków, długo utrzymają przewagę czynnika ziemiańskiego. A przecież oprócz tych ziemiańsko-mieszczańskich kondominiów mamy także miasta rezydencjonalne, prywatne, zbudowane przy ważnym arystokratycznym majątku. Wśród nich są dzisiejsze duże i średnie miasta, jak Białystok, Rzeszów, Zamość czy Biała Podlaska, którą nieprzypadkowo nazywano także Białą Radziwiłłowską.

Sieć to jednak nie tylko miasta, ale także połączenia między nimi. To możliwość odgrywania swojej roli w wymiarze szerszym niż najbliższa okolica. W punkcie wyjścia jest to rola niewielka. Jak pisze Braudel, „[...] postęp na większą skalę nastąpił dopiero około roku 1830, czyli w przeddzień rewolucji, jaką okazało się wprowadzenie kolei żelaznych. Dopiero wówczas transport lądowy staje się powszechniejszy, regularniejszy, szybszy”¹⁰. Mówienie o sieci trzeba zatem opatrzyć uwagą, że dla większości mieszkańców Polski pozostawała ona w połowie XVIII wieku w zasadzie nieistotna i niewidoczna.